

JUREK 2000

Dwa tysiące czego? Zdarzeń? Złotych? Istnień? Lat? Przeżyć? Czy można być dwa tysiące? Czy tylko mieć? W wyobraźni mieszcucha liczba to miara. Nie może być imieniem. Ale jest. Tak nazywają go wszyscy – Jurek „2000”. Bieszczadzki obyczaj.

Rura, deska, stół, kosz. Są. Na razie niepotrzebne. Spokojnie oczekują swego losu.

Przez jedne drzwi atakuje chłodem dzika, niezmierna przestrzeń. Drugie promieniają ciepłem tego, co

w środku.

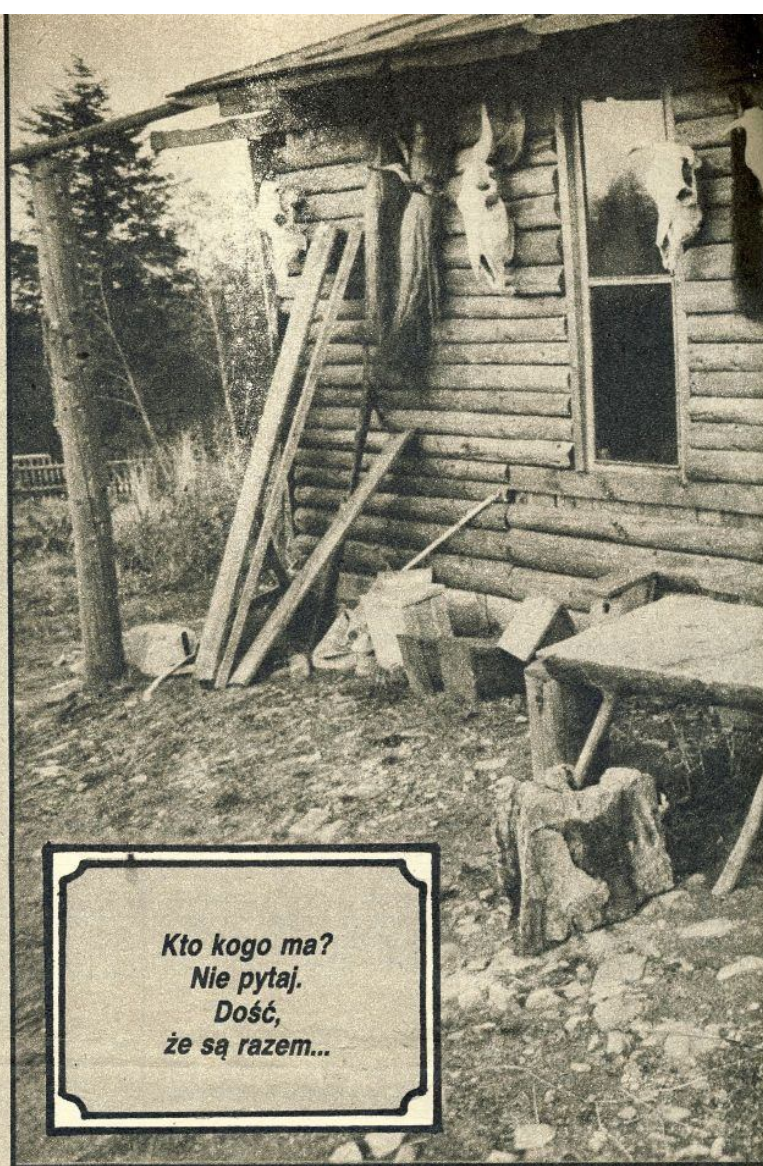
Za szybą jest świat, szary zmierzch, wieczorem rosa. Najbliższy sąsiad w odległości kilku kilometrów. Przed szybą parapet, na którym stoi jabłuszko. Lśniące, plastikowe, czerwone z zielonym ogonkiem. Obrzydliwy kicz.

Jurek właśnie wrócił z lasu, przestawił jabłuszko na stół, odłożył na bok jego górną część. Słodzi herbatę, czerpiąc powoli cukier z wnętrza. Po chwili znów jest czerwone. Jak czajnik, kubek, jak każdy niemal garnek w tym domu. Dlatego nie razi.

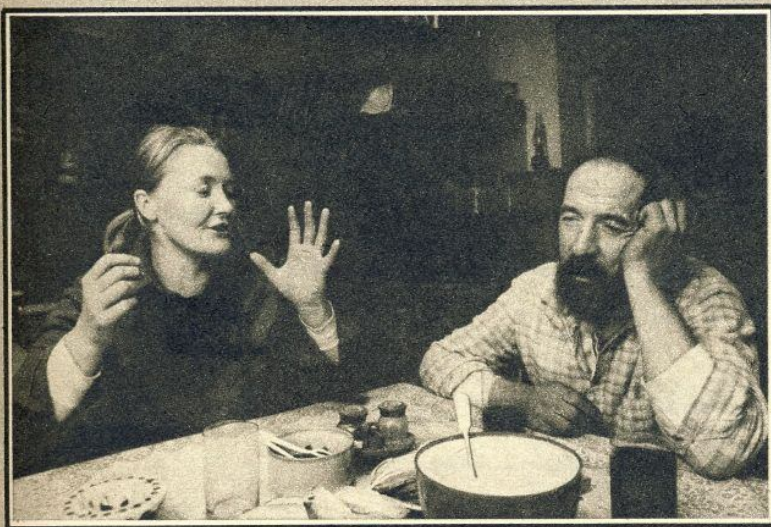
– *Garnuszek?* – Jurek przez chwilę przygląda się kubkowi, jakby dopiero teraz odkrył jego barwę. – *To nie ja. To gaździnka, Boguska. Lubi, to zbiera. Znosi po jednym, wynajduje gdzieś. Dobrze, że jej się chce, nie?*

Jurka kolor naczyń w zasadzie nie obchodzi. Mogą być czerwone, pstrokate. Ale nie dziwi się, że można coś lubić, o coś zabiegać. Sam też znosi i robi różne dziwne rzeczy.

Ot, choćby taka stawojka. Czy musi mieć drzwi?



**Kto kogo ma?
Nie pytaj.
Dość,
że są razem...**



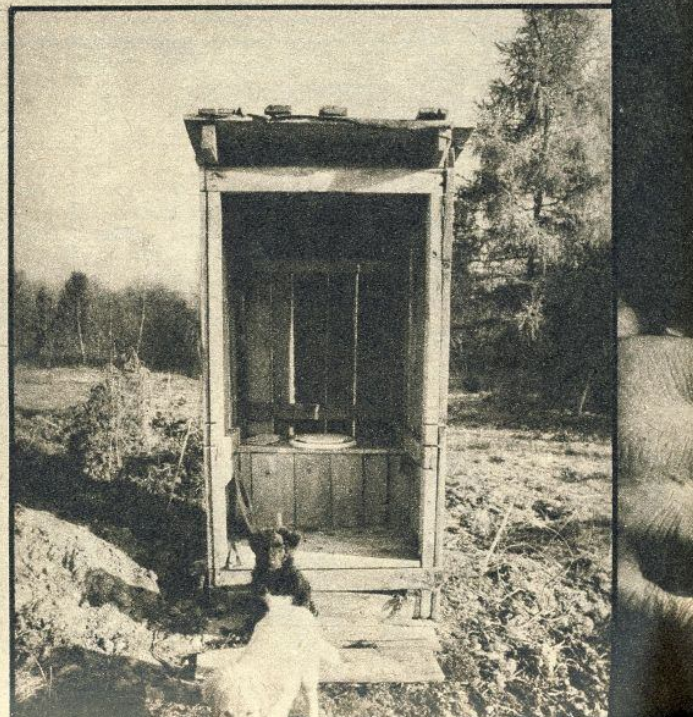
Do kuchni wchodzi się z sieni. Ciasnej, zagraconej narzędziami, butami z gumy i filcu, deskami, złomem. Łatwo się tu potknąć, szczególnie wieczorem. Nawet w dzień człowiek odruchowo ustępuje pod wrażeniem ciasnoty, chowa głowę w ramiona, choć to akurat nonsens, bo głową wyróżnić nie ma w co. Sien nie ma swoich praw. Trafia tu wszystko to, co przypadkowe, co gdzie indziej nie pasuje, a w środku się nie mieści.

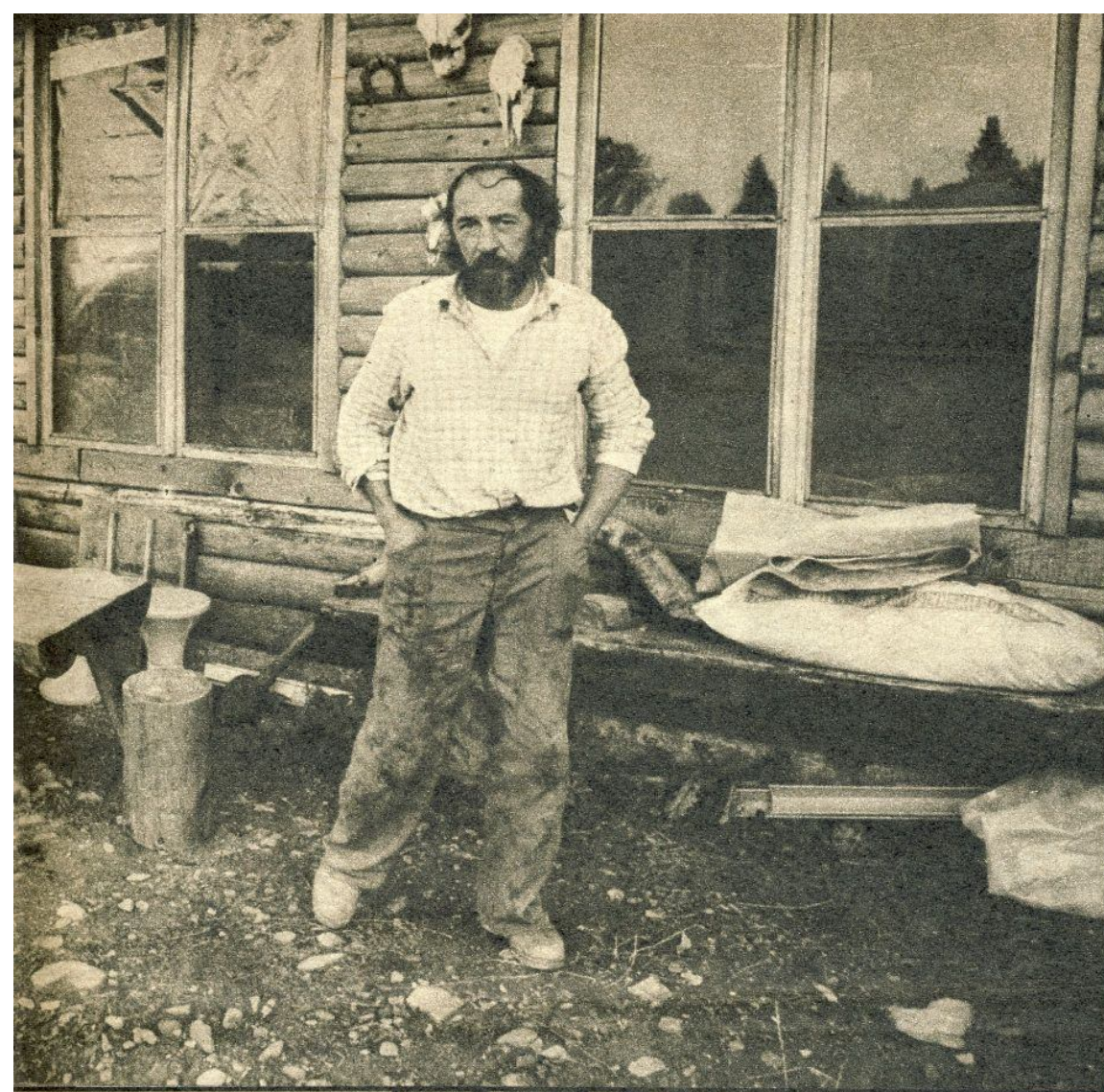
– *A przed kim ja się tu będę chował? Tu nie ma ludzi. Zresztą, stoi tyłem do drogi, jakby ktoś szedł... Nie przyjemniej popatrzeć na góry, poczuć rosę, wiatr, niż się zamykać w ciemnym pudełku? Co z tego, że wszyscy tak robią? Ja nie muszę.*

– *Wychodek ustawiłem sam, to sobie mogłem zrobić taki, żeby mnie odpowiadał.*

Proste, ale trzeba na to wpaść.

Życie nie znosi próżni. Pustkę zawsze coś wypełni. Jak brakuje własnych myśli, przejmujemy cudze. I tak powoli zamieniamy się w kopie, nie wiedząc nawet, że dobry bywa tylko oryginał. Nie mamy poglądów, upodobań,





pomysł, oczywiście własnych. Maty za to cudze. A potem dziwny się, że ktoś zbiera czerwone garnki, choć w fanklubie nie mówili, że takich używał Lennon. Albo – czubate kury...

– Po te kury jeździłem sześćdziesiąt kilometrów. Tutaj w okolicy nikt takich nie hoduje, nie było skąd kupić. Fajne są, śmieszne takie małe.

Za siatką kójca spaceruje indyk, skaczą króliki. Czubateki nie są same. Nawet ciasno im trochę. Ale kójca jest potrzebny, chroni przed lisem, przed jastrzębiem. W Bieszczadach nie wystarczy mieć dziś, sztuka potem nie stracić.

Na fasce pana

Roślina była dzika. Wyrosła w polu, czujna, ostrożna. Tylko siarczyste mrozy styczniowe zagoniły ją mogły pod dach, a i to nie zawsze. Lubiła tarzać się w wysokich trawach, ze spuszczonej fimbrii błękać po odległych polanach w poszukiwaniu ulubionych ziół.

Koniowi samotność nie służy. Roślina pasła się więc z Magdą, wierną towarzyszką Jurkowych wędrowek. Nikt ich nie wiązał, po co? Przecież przychodziły na wołanie, rozpoznawały odgłos kroków Jurka, witały go radosnym parskaniem. Wtulały się pod pachę, szperały w kieszeniach kurtki, rzadko zupełnie pustych. Nawet między sobą pogodziły się jakoś, choć z charakteru nie pasowały zupełnie. Magda pożądana, kara indywidualistka, po babsku czasem złośliwa, Roślina drobna, łagodna, huculka z urody.

– Moja córka, Ela, mieszka w Jeleniej Górze. Roślinkę hodowałem dla niej. Tam nie dostanie takiego konia. Tu zwierzę na swobodzie żyje, zdrowe, odporne. Fajna była Roślina.

– Jak podrosła, trzeba ją było jakoś przeprowadzić. Pomyślałem sobie: ludzie kiedyś na koniach całą Europę zjeżdżali – to i ja mogę. Nie pierwszy to raz przyszło cały dzień w siodle...

– Użyłem sobie mocny, kowbojski strój, z solidnego brezentu, z frędzlami. Przydał się. Dobry brezent wilgocią naciągnie, zeszywnieje, ale wody do ciała nie puści. To ważne. Nieraz cały dzień w deszczu jechałem, potem w siodle zaszywałem się na noc, przesuszyć się nie było gdzie. Samo schło na ciebie.

– Jechałem na Madzi. Roślina jeszcze za młoda była, prowadziłem ją luzem. Kapelusze na głowie, frędzle u kurtki powiewają, dziwni się ludzie, jak gdzieś zatrzymałem się na piwo. Dwa konie przed knajpą – Dzikie Zachód, sensacja, aaaaale co mnie to. Lubię, to jeżdżę.

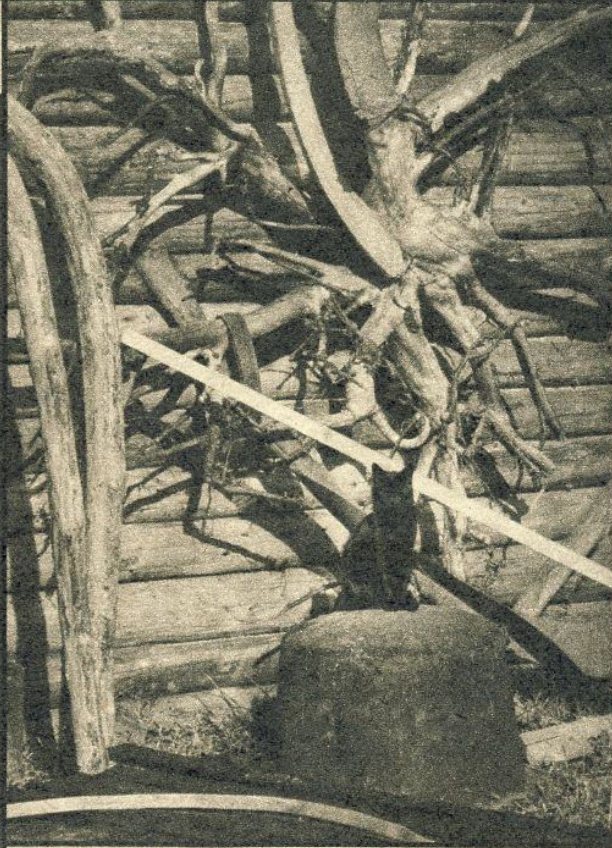
– Taka wyprawa tylko na tutejszym koniu może się jeszcze udać. Rasowe zwierzęta w ciepłych stajniach chowane za delikatne.

– Wędrowaliśmy przez pola, bocznymi drogami, jak za dawnych czasów. Konie pały się gdzie akurat wypadło. Po piętnaście godzin w siodle siedziałem.

Roślina została w Jeleniej Górze. Jurek wrócił w Bieszczady tak jak wyjechał – na Magdzie. W dwa i pół miesiąca pokonali ponad 2500 kilometrów. Praktycznie cały czas wędrowali przez góry. Jurek schudł, Magda też. Ciężkie była końskie życie na fasce pana. I – ludzkie

na fasce konia.

– To jest życie, tu więcej takich jak ja. Jak się na nasze wesele rok temu zjechali koniarze, nad ranem urządziliśmy taki galop. Od stołusmy wstali, na konie siedli, poooooozili! Wzieliśmy wódkę, zakąskę. W strumieniuśmy wylądowali. Tam, na kamieniach, dopiero zaczęli bał.



LUDZIE NIE Z TEJ ZIEMI



– Ci, co za stołem lubią siedzieć, bawili się po swojemu – zostali. A my mamy swoje zwyczaje. Nie po to góry, konie, przestrzeń, żeby za stołem...

– Właśnie, co będziemy siedzieć. Trochę światła jeszcze, trzeba do koni iść.

Jurek starannie zamyka drzwi. Na zagięty gwóźdź. Zamek nie jest potrzebny, nie tutaj. Gwóźdź wystarczy, żeby kundle nie rozwlekły butów po całym obejściu.

Dochodzimy do niewielkiej polanki. Tupot i – są, Magda, Myszka, Maciek. Magda ma już osiem lat. Maciek to jej półtoramiesięczny syn, Myszka – półtoraroczna klaczka – powoli dojrzewa do siodła.

– Magdę więzę teraz, bo się złości. Nie dopuszcza Myszki do Maćka, kopie. Matka.

Malutki, zwawy ogierek uparcie usiłuje złapać Jurka za ramię. Nie rozumie, że to boli. Końskie pieszczoły.

– One mają swoje zwyczaje, myślą. Magda, ona coś do płotów ma. Mądre to takie, wie, że nie wolno. Przyfilowałałem ją raz zia firanki. Najpierw udawała, że ją płot nic nie obchodzi. Chodziła bokiem, łbem kręciła i kombinowała sobie. Odszedłem do domu i patrzyłem. Ona też. W firankę. Jakby wiedziała, że tam jestem. Wreszcie uznała, że poszedłem naprawdę, że nie widzę.

– Oba konie do płota podeszły. Jeden przeskoczył, a Magda gdzie tam. Co będzie skakać! Przymierzyła się, najpierw ostrożnie – i filuje. Ja się nie pokazałem. Pozostała chwilę i wreszcie trrrach! Przeszła. Siedemset kilo. Płot leży. A ona jakby nigdy nic. Niewiniątko, myślałby kto. Taka cwana.

– A jak naprawiałem, ją to zupełnie nie obchodziło. Tak umie udawać. Tylko typtała spode łba czasem. Przy niej płot się nie ostoi. Jak mieszkaliśmy na Chrewcie, to przez okienko wyszła.

– Mówię do nich, uczę, a potem z tego mam. Ale warto. Inaczej nie dałbym sobie z nimi rady. Jak od małego nauczę nogi podawać, koń przywyknie, że coś się koło kopyt robi, to potem podkuć można. Maćka, jak dorosnie, człowiek przecież siłą nie utrzyma, Myszki też.

– Myszkę podarowałem żonie w prezencie ślubnym. I tak sam bez konia zostałem. Magda ciężka już, ja lubię zagalopować, a ona sapki dostaje. Muszę sobie konia kupić.

– Mam już upatrzoną klaczkę, dwulatkę. Od sąsiada. Też na dziko chowana. Może Józek dziś przyjdzie? Miał przyjść, ale z nim nigdy nie wiadomo.

– Co z Magdą? Nie wiem. Ja tam konia do lasu, do roboty, nie dam. Zapłakałbym się. Już bym prędzej sam furę wziął ciągnąć. Po trzech latach koń na nic. Za ciężko. Do reżni idzie.

Dla Jurka koń to przyjaciel. Trudno na co dzień obcować z kumplem będącym



na fasce śmierci.

Tych dni Jurek nie zapomni nigdy. Nie potrafi, zresztą chyba nawet by nie chciał.

Gienek umierał sam. Na raka. Nie mógł się już ruszyć. Nie mógł jeść. Mógł tylko leżeć. I czekać.

– Tu nikt się rozczulał nie będzie. Nie potrafi. Głodny jesteś? To masz pęto kielbasy, wódki popij. Takie tu prawo.

– Nie znam się na psychologii – głos Jurka jest nienaturalnie spokojny, matowy – ale coś niecoś wiem. Przecież był chory. Nie można było jak ze zdrowym, nie?

– Przychodziłem: Gieniuś, co byś zjadł? Może jajko na miękko? Nie? Nie chciał. No to jeszcze raz: Gieniuś...? Czasem się skusił. Marudny był, potem jeszcze coś chciał. Chory. Może łżej mu było.

Każdy umiera sam, nawet wśród ludzi. Nie da się uspołecznić śmierci. Zresztą, nie warto. Tu chyba jednak nawet samotność ostateczna inny ma wymiar.

Na pogrzebie było osiem osób. W sam raz do niesienia trumny. Nie miał kto zasypać grobu.

– Słpakałem się, taki widać miękki jestem w paru miejscach. Jak do koni.

Łaskawy los

Józek przyjechał. Przyniosła go Preria. Za Prerią przyszły inne konie. To najlepszy sposób. Zawsze chodzą razem. Preria jest statecznym wierzchowcem, pozostałe to dzikusy. Inaczej nie sposób ich prowadzić.

Przez dłuższą chwilę obaj sąsiedzi uganiaли się za nimi po nie do końca ogrodzonym

corrallu. Bezszykownie. Józefinka nie dała się złapać. Trzeba było wprowadzić całe stado do stajni.

Szeroki zamach, dłoń uderzyła o dłoń. Jeszcze raz. Jeszcze. Przybite. Pięćdziesiąt tysięcy przeszło z rąk do rąk. Jurek kupił konia. Do Magdy, Maćka i Myszki dołączy Józefinka, jak się trochę oswoi. Na razie hałasuje w stajni.

Maćkowi nie podoba się obce stado. Nigdy nie widział tylu koni naraz. Poczuł się opiekunem dwóch klaczy. Najpierw potypał trochę nieufnie zza matki, a potem... wysłował się do przodu. Póbobrół i – zaatakował zadem. Najpierw mniej więcej rówieśnika. Rówieśnik zwiat. Pierwszy prawdziwy triumf ogiera. Maćka rozpiera duma: kopie dorosłą kobyle.

Magda skośnym, nerwowym galopem rusza do ataku. Kopanina nabiera tempa. Klacz od początku ma przewagę. Jest cięższa, silniejsza, bardziej doświadczona. Kaszanka rejteruje. Maciek, skryty za bokiem galopującej matki, wydaje się jeszcze mniejszy. Runda honorowa zwycięzców i stado uspokaja się z wolna.

Za to Józefinka rozrabia dalej. Jurek idzie do niej. Coś tam sobie szepczą przez drzwi. Cisza. Jurek wraca. Ze szczytu długiego drąga obserwuje go mały, czarny Skrzatek.

Kocim okiem

– On już taki jest – komentuje Boguśka, żona Jurka. – Z koniem zawsze się dogada. Jak coś nie tak – idzie sobie do Madzi.

– A ona na drapane kotki sobie przykłada

– Jurek nie pozostaje dłużny.

Biedronek, Jagódka, Skrzatek, Kruszynka, Śmiałka, Bliźniaczek, Pływaczek, Ostrowłosa, Plamiasta, Bobo – to koty. Jest ich pełny koszyk i jeszcze trochę. Zapewne będzie więcej. Bogusia i Jurek zgodnie znoszą zewsząd puchate kuleczki. Jak można coś takiego utopić? Przecież to tak niewiele potrzebuje, przy domu się wyżywi.

No, może z tym wyżywieniem kociego stada jest jednak ciut nie tak. Pełne siatki wiktuałów z mlekiem włącznie – dzwigane wyboistą drogą ze Smereku – dowodzą czegoś wręcz przeciwnego. Ale niech tam, przynajmniej jest co pogłaskać.

Kotki rezydują w sieni. Co najważniejsze, do sieni nie docierają psy. Te, co prawda, do kotów przywykły, awantur nie robią, ale kot – stworzenie leniwe – lubi się wyspać. A jak tu spać, kiedy coś nad głową warczy i mociuje się z butem? Dobrze więc, że Biała i Czarna, dwie trzymiesięczne suczki-wisuski, z sieni są wyganiane. Dobrze też, że nie pcha się tam Cora – ich matka – rasowa biała owczarka. Choć ta akurat, zupełnie nie wiadomo dlaczego, sieni nie odwiedza. Skoro potrafiła wejść po drabinie na strych, wykrasć stamtąd baranie czaszki pachnące fojmem i wynieść je po jednej, schodząc po drabinie przodem jak tresowany policyjny pies, umiałaby pewnie sforsować i drzwi kociego azylu. Cóż, widać nie ma powodu.

A kucurkom w to graj. Lubią się, szczególnie w nocy. Kiedyś były jeszcze dwa starsze koty: Zorro i Pantera. Zupełnie nieoprawne. Zorro rok nie było w domu. Wrócił z

JUREK 2000

chwili, tuż przed wodospadem. I wyszedłem z tego na Studziennym. Potem boso wracam.

– Albo pod domem. Wracałem właśnie. Idę, patrzę, coś burego przy płocie tazi. Myślę, pewnie się Magda urwała. No to muszę po cichu. Idę, idę, nic nie gadam, podchodzę, a to stanęło na dwie nóżki i pooooooooo! W las. Miś. A gdybym tak wziął za kudły, powiedział: chodź Magdusia.

– Tu się nie da nudzić. Chodzę, patrzę, zdjęcia robię. Przez pryzmat aparatu widzę inny świat. Wstaniemy rano, to zobaczymy. Robię, jak kto przyjdzie, to mu dam. Nic z tego nie mam, ale nie o to idzie, żebym miał.

– Chyba rozumiem kształt. Zawsze tak było. Z polskiego zawsze dwójce miałem, a z rysunków – pięć. Tak wyszło. Wojnę na Syberii przeżyłem, matka po łemkowsku, po polsku, po rosyjsku i czort wie, jak jeszcze gadała...

– On nawet Józef napisał przez „w” – wtrąca Boguśka.

– W Bieszczadach tak się pisze. Nie gadałaby. Wstyd przynosi, z konia spada, dupę potukła i to moja gaździnka...

– O, jak brzydko gada!

– W Bieszczadach wszystkie dziewczyny tak mówią.

– Tu wszystko inaczej. Tu wszystko prostsze. I szmal tak nie waży. Ja tam finansistą nie jestem, robię, żeby żyć. I na konia wystarczyło, i na czerwone gamuszyki mamy dość.

– Szafki sam zrobiłem, bo to przecież bzdura za meble z dykty płacić, kiedy uczciwie drewno wokół rośnie, nie?

– A jak mi się kiedy znudzi, wszystko rozdaję, nie sprzedaję – rozdaję. Tylko konia nie! Siadę na niego i pójdę! I tak już bywało.

Bez łaski

– Umierał nie będąc jak Gienuś. Nie dla mnie. Wsiadę na konia, kiedy poczuję, że już, w las pójdę. Tam skończę.

Jurek pakuje plecak. Wybiera się do Smerku.

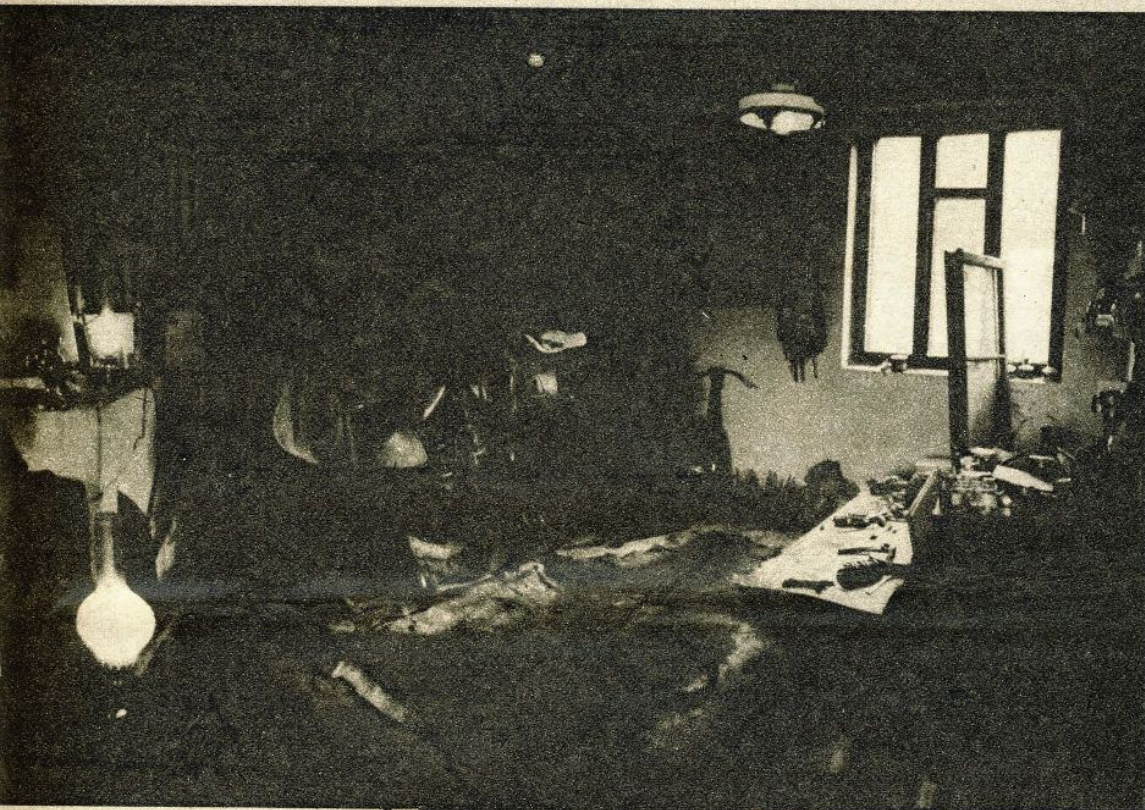
– Stara gwardia, pomarli, pomnik trzeba zrobić – wyjaśnia. – Dlaczego akurat ja? A kto? Tak trzeba.

– Ja, widzisz, zawsze w życiu byłem grzeczny. To ważne. Nie dało się z żoną grzecznie żyć, to grzecznie odszedłem. Do dziś, jak tam pojedę, rozmowa jest grzeczna. Teściowa lubi mnie, ugości. Dwie córki mam: Elę i Małgosię.

– Najważniejsze to grzecznym być. Nie stąbam – grzecznym. Co daje szumiec po wódce? Ja jeszcze innych godzę. Po co żałować mają? A jak człowiek grzeczny to i żyć dadzą. Tak jest. Człowiek ma, co lubi. Zwierzaki, przestrzeż...

– Fajną gaździnkę mam, mówisz? Uhum! A kto kogo ma?!

**Spisał: JERZY PREKURAT
Fotografował: JACEK
KUCHARCZYK**



kotką. Panterą właśnie. Parka wyglądała pysznie. Jurek już miał nadzieję na śliczne małe koty, ale parka poszła w las i tyle ją widać. Młodzież kocia dni spędza baraszkując w sianie, skacząc po dachach, popołudniami wygrzewa się na kółkach. Wieczorem koszyk wypełnia się białymi, czarnymi i łaciętymi futerkami. Widok w sam raz do fotografii... A figa! Trzask migawki i – koszyk stoi pusty. Z zakamarków za to wystają okrągłe łebki dzikusów. Przyczajone, z uszami po sobie, fuczące.

Do koszyka wracają dopiero po chwili, czujne, nieufne. Po prostu k o t y.

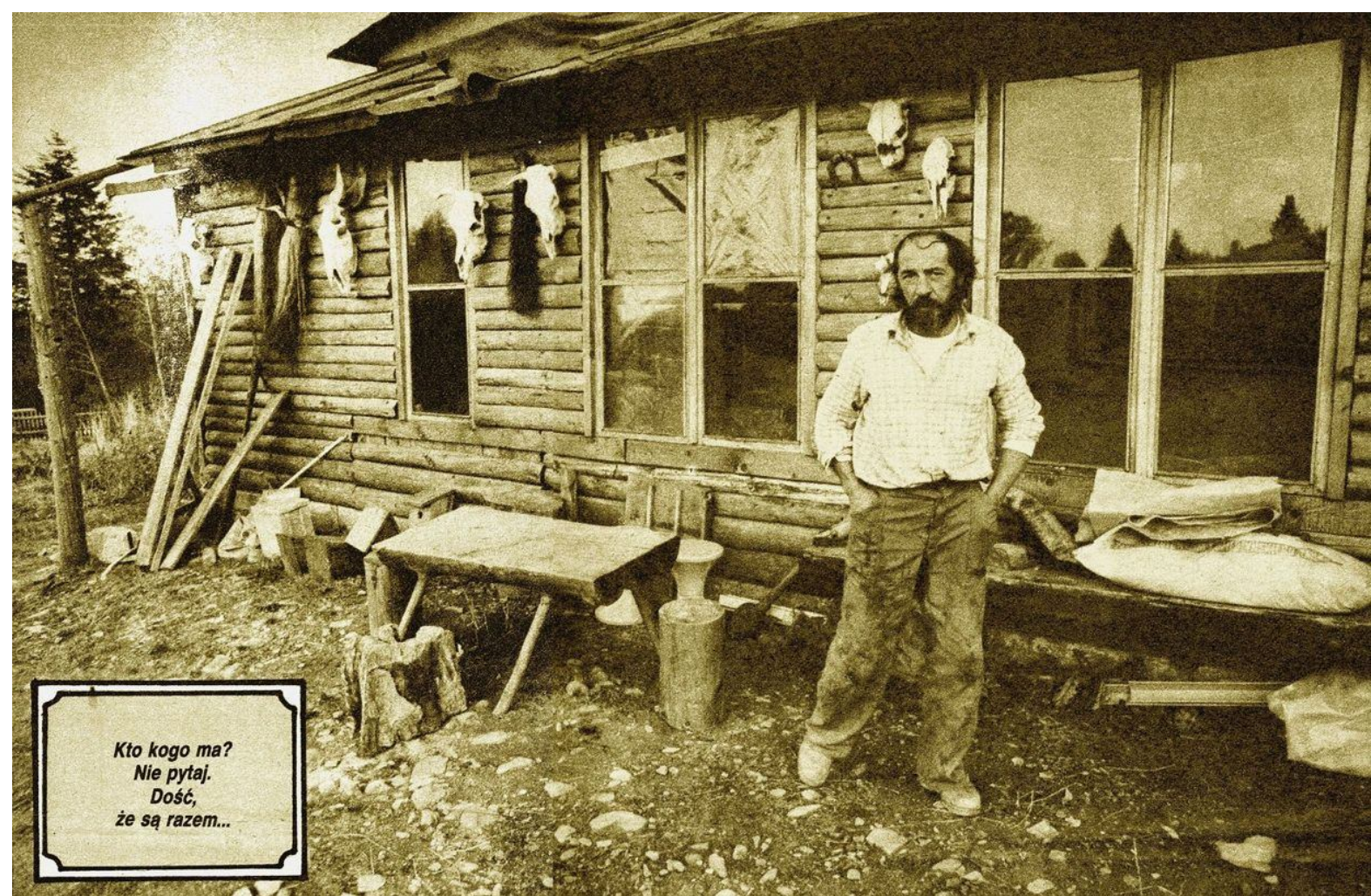
Na łasce gór

Migotliwy blask naftowej lampy przerysowuje szczegóły. Wyolbrzymia cienie, podkreśla rysy twarzy. Prądu nie ma, nie było i nie będzie. Dom Jurka jest zbyt odległy od najbliższej linii. Gospodarz nie wydaje się tym jednak specjalnie zmartwiony. Ma, co chciał.

Przychodził w Bieszczady od 1955 roku. Poznał je dobrze, zanim zdecydował się zostać. Po piętnastu latach. Niestraszne mu twarde, bieszczadzkie życie, tego właśnie szukał.

– Taki już jestem, że nie potrafię się zleknać. Najpierw muszę pomyśleć, czy się zleknać warto. Kiedyś mnie woda porwała. Na Sanie. Nurt wezbrany, niosło i niosło. Inny by się może szarpał, a ja przekalkulowałem sobie: sił szkoda. Najpierw ciuchy poszły, a potem poczekalem na dobry moment. Datem czałem i doszedłem do brzegu. W ostatniej





*Kto kogo ma?
Nie pytaj.
Dość,
że są razem...*